

Ciemężyca

Maria Gąsienica-Zawadzka

Copyright © by Maria Gąsienica-Zawadzka

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2025

Opieka wydawnicza: Ewelina Tondys

Redakcja tekstu: Justyna Żebrowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i łamanie: Pracownia 12A

Promocja i marketing: Zuzanna Molińska

Projekt okładki: .....

Fotografia na okładce: .....

Fotografia autorki: .....

ISBN 978-83-8135-480-6



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

*Dla Dawida*

„Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy,  
by sam przytem nie stał się potworem”.

Friedrich Nietzsche, *Poza dobrem i złem*,  
tłum. Stanisław Wyrzykowski

## PROLOG

Kacper fotografował od zawsze. Odkąd po raz pierwszy jako mały chłopiec wziął do ręki aparat, wiedział, że tylko to chce robić. Fotografował wszystko i wszystkich. Mama, tata, babcia, ciocia, młodsza siostra – każdy członek rodziny miał w jego komputerze osobny katalog. W innych były zdjęcia przyrody: chmur na niebie, drzew o każdej porze roku, kwiatów na łące i zwierząt, od żuczków po konie i krowy. A potem po raz pierwszy poszedł z aparatem w góry i zrozumiał, że przepadł na zawsze. Jego muzą stały się Tatry, ich ostre wierzchołki, skaliste granie, malownicze doliny, zachwycające stawy i rwące potoki.

Każda pora roku i dnia miała w górach swój urok, więc chodził tam, gdy tylko mógł, bez względu na prognozy pogody. Z każdym rokiem jego zdjęcia zyskiwały na jakości, aż wreszcie zaczął zdobywać uznanie i nagrody. Aby móc docierać w każdy zakamarek, zapisał się do klubu wysokogórskiego i ukończył kurs wspinaczkowy.

Tego październikowego dnia siedział na szczycie Wysokiej, która była jednym z jego ulubionych miejsc.

Obserwował otaczające go wierzchołki, patrzył na chmury sunące po niebie, analizował, jak promienie słońca kładą się na zboczach gór, i szukał. Szukał ujęcia doskonałego. Lubił Wysoką ze względu na jej położenie. Z wierzchołka można było dostrzec szczyty Tatr Zachodnich, w tym ten najwyższy, Bystrą. Ale również Tatry Wysokie z ich kolasami: Krywaniem, Rysami i Mięguszcami. I wreszcie Tatry Bielskie z Hawraniem i Doliną Żabich Stawów Mięguszo-wieckich. To miejsce było rajem dla fotografa.

W pewnej chwili chmury, które do tej pory przesła-  
niały Rysy, rozwiały się i odsłoniły szczyt. Patrząc przez  
wizjer aparatu, Kacper dostrzegł na wierzchołku sylwetki  
dwóch osób. O tej porze roku nie spodziewał się tam ni-  
kogo. Jedna postać była czerwoną plamą, a druga niebie-  
ską. To stały nieruchomo, to znów się poruszały, zupełnie  
jakby się rozglądały i podziwiałały widoki. Kacper używał  
obiektywu zmiennoogniskowego, lecz choć zrobił maksy-  
malne zbliżenie, wciąż nie widział postaci tak dokładnie,  
jak by chciał. Szybko sięgnął do plecaka, gdzie w futerale  
spoczywał teleobiektyw. Miał nadzieję, że to wystarczy,  
aby zrobić dobre ujęcie. Po zmianie obiektywu widział  
już dwie sylwetki o wiele wyraźniej, wciąż jednak nie na  
tyle, by stwierdzić, czy to kobiety, czy mężczyźni.

Po chwili wrócił do obserwacji gry światła i cienia na  
wierzchołkach i ścianach, jednak raz po raz jego uwagę  
przyciągały osoby na Rysach. Gdy po raz trzeci spojrzął  
w tamtym kierunku, zobaczył, że jedna z nich zbliżyła się  
do krawędzi przepaści, a druga wciąż się porusza. Nagle  
podeszła do tej znajdującej się przy przepaści i stanęła tuż  
za nią, po czym stało się coś, czego Kacper się nie spodia-  
wał. Postać runęła w dół, raz po raz odbijając się od skał.

– Zabił go... ten skurwiel go zabił... – szepnął Kacper  
i natychmiast sięgnął po telefon. Ręce trzęsły mu się tak

bardzo, że nie mógł trafić w klawisze. Wreszcie udało mu się wybrać numer alarmowy TOPR-u. – Jestem... jestem na szczycie Wysokiej... – zaczął, gdy usłyszał głos dyżurnego ratownika. – Przed chwilą widziałem, jak ktoś spadł z wierzchołka Rysów... – Głos mu się załamał.

– Spadł?

– Tak, spadł... To znaczy nie spadł... Tam jest ktoś jeszcze... kto mógł go zepchnąć... Tak to wyglądało, jakby go zepchnął... Zabił.



KWIECIEŃ 2024

## **ANKA**

Poprawiam się w fotelu i palcami lewej dłoni przeczesuję krótkie włosy. Są już lekko przetłuszczone, dzisiaj wieczorem powinnam je umyć. Potem obciągam rękawy swetra, żeby siedząca naprzeciwko kobieta nie zauważyła moich obgryzionych paznokci. Patrę jej w oczy. Wygląda, jakby czekała na odpowiedź. Czy ona mnie o coś pytała? Wylączyłam się na kilka sekund. Nie wiem, jak z tego wybrnąć. Uciekam wzrokiem do zegara wiszącego na ścianie za jej plecami, a wtedy ona się odzywa:

– Pani Anno, pytałam, jak pani idzie pisanie powieści.

– W ogóle mi nie idzie. Zaczynam coś pisać, a potem skreślam, wyrzucam. Nie mogę skończyć pierwszego rozdziału. Chyba po prostu nie potrafię pisać... Ale nie chcę teraz o tym rozmawiać – odpowiadam szybko z nadzieją, że odpuści dzisiaj ten temat.

Terapeutka kiwa głową i przebiega wzrokiem notatki. Tak naprawdę jest psychiatrką i terapeutką jednocześnie. Znalezienie osoby, która łączy te dwie specjalności, nie było łatwe. Ja wolę jednak nazywać ją terapeutką.

Psychiatra kojarzy mi się z wariatami, a ja przecież nie jestem wariatką. Mam swoje problemy i fobie, ale z pewnością nie jestem szalona.

– Dobrze. Wróćmy w takim razie do pani relacji z matką. Wciąż dzwoni do pani codziennie czy coś się w tej kwestii zmieniło?

– Nie, niewiele... właściwie to nic – odpowiadam i gryzę się w język, żeby jej nie powiedzieć, że to także jest temat, którego nie mam ochoty poruszać. Co ja tu w ogóle robię? Nie chcę z nią dzisiaj rozmawiać. Niepotrzebnie tu przyszedłam.

Znów uciekam wzrokiem, tym razem do ściany po prawej stronie, a konkretnie do obrazu, który tam wisi. Przedstawia Giewont w zimie, z płatami śniegu zalegającymi na zboczach i chmurami kłębiącymi się nad szczytem. Artysta nie zadbał o detale, pociągnięcia pędzla wyglądają tak, jakby zostały wykonane od niechcenia, chaotycznie, a jednak ledwie zarysowany masyw górski jest rozpoznawalny od pierwszego spojrzenia. Choć może tylko dla mnie, bo przez większość życia patrzyłam na niego z okna. Nie odwracając wzroku od płótna, pytam:

– Krzyż. Dlaczego nie ma krzyża?

Terapeutka nie daje się zbić z tropu.

– Pani Anno, pytałam o relacje z matką. O tym również nie chce pani rozmawiać?

– Chcę, nie chcę... Nie wiem... Nic się nie zmieniło. – Jestem coraz bardziej zirytowana. – Dzwoni codziennie, ja odbieram. Nie, zaraz... Raz nie odebrałam, ale za chwilę oddzwoniłam.

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Wystraszyłam się, pomyślałam, że może coś się stało. Że matka potrzebuje pomocy i jak nie odbiorę, to sobie potem tego nie wybaczę.

– Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, ile razy matka, dzwoniąc do pani, naprawdę potrzebowała pomocy.

– Ani razu – odpowiadam bez chwili zastanowienia i chowam twarz w dłoniach, które uwalniam z przydługich rękawów swetra. W tej chwili chciałabym stąd uciec, zniknąć, rozplynać się. Nie miałabym nic przeciwko temu, by jakaś niewidzialna siła wciągnęła mnie na plan obrazu. Mogłabym przysiąc pod drzewem, skryć się we mgle, którą malarz otulił rosnący u stóp Giewontu las, zamieszkać samotnie na tym obrazie...

– Ani razu – powtarza niczym echo terapeutka. – Można więc przypuszczać, że prawdopodobieństwo, że w tym wypadku matka potrzebowała pomocy, było niewielkie.

– Tak. Tak, ma pani rację. – Irytacja już na dobre rozgaszca się w moim głosie. – Tak, wiem, że jestem uzależniona od matki. Wiem, że nie umiem wyznaczać granic i że powinnam coś z tym zrobić. Ale nie potrafię. I po ponad roku przychodzenia do pani nic się nie zmieniło. Wiem, że jeśli nie odbiorę, zadzwoni jeszcze raz, a potem drugi, trzeci, dziesiąty, dwudziesty... I wiem też, że jeśli w końcu odbiorę, to będę musiała wysłuchać jej niekończących się pretensji.

– Będzie pani musiała? Pani Anno, jest pani dorosła, pani już nic nie musi, a na pewno nie codziennie odbierać telefonu od matki ani wysłuchiwać jej narzekania. Ma pani wybór. To od pani zależy, czy pani to zrobi, czy nie.

– Pani nie rozumie. To moja matka. Mieszka sama. Nie ma nikogo oprócz mnie.

– A pani brat?

– Mieszka z żoną i dziećmi w Krakowie, ma mnóstwo obowiązków, często wyjeżdża służbowo, przecież dobrze pani wie. Jeśli coś się stanie, nie rzuci wszystkiego i nie

zjawi się u mamy w pięć minut. Zwłaszcza gdy jest za granicą.

– Pani też nie ma na miejscu. Z Krakowa do Zakopanego jest... Ile, sto kilometrów?

– Coś koło tego.

– Więc pani też w nagłym wypadku nie pomoże mamie od razu. W pięć minut.

– Nie, nie pomogę. Ale muszę odbierać telefony od niej. To jest jak cykl, którego nie można przerwać.

– Dlaczego nie można go przerwać?

Czy ta kobieta niczego nie rozumie? Mam ochotę krzyknąć jej w twarz: „Po co mam ci to tłumaczyć, skoro i tak nic do ciebie nie dociera?! Siedzisz sobie tutaj w tym przytulnym gabinecie, ubrana w stylową garsonkę i bluzeczkę z białym kołnierzykiem, jakbyś była z innego świata. Splatasz dłonie z wypielęgnowanymi paznokciami, których pewnie nigdy nie obgryzłaś do krwi. Wyglądasz i zachowujesz się jak dama na królewskim dworze. Tak samo odległa i obca. Jak ktoś taki jak ty może zrozumieć kogoś takiego jak ja?!”. Przelykam jednak te wszystkie słowa i odpowiadam z rezygnacją:

– Bo próby jego przerwania powodują awantury, z którymi coraz gorzej sobie radzę. Ja już nic nie chcę od życia. Tylko świętego spokoju.

– Więc pani sama musi go sobie zapewnić. Nikt tego za panią nie zrobi.

– Łatwo pani mówić – szepczę, po czym sprawdzam godzinę na zegarze i z ulgą mówię: – O, nasz czas się skończył, dziękuję pani za dzisiaj.

– Ja również dziękuję. Widzimy się za miesiąc?

– Tak, proszę mnie zapisać.

– Pani Anno, małe kroki – przypomina, gdy kładę rękę na klamce. – Proszę pamiętać, że każda zmiana zaczyna

się od małych kroków. Od jednego nieodebranego telefonu, od jednego powiedzianego na głos „nie”. Proszę się nie poddawać. Proszę znów spróbować.

– Dobrze. Do widzenia. – Otwieram drzwi i nie oglądając się za siebie, opuszczam gabinet.

Wybiegam na ulicę i wdycham wiosenne powietrze. W ciągu ostatnich chwil w gabinecie terapeutki czułam się tak, jakbym walczyła o każdy oddech. Na szczęście sesja dobiegła końca i mogłam uciec. Uciec do swoich starych i dobrze znanych problemów. Tak, stare problemy są lepsze niż to wszystko, co niewiadome i nieprzewidywalne. Lepsza jest codzienna kłótnia z matką odbyta według utartego schematu niż zmiany, które nie wiadomo co przyniosą.

Właściwie nie wiem, po co chodzę do psychiatry. Na tę całą terapię. To znaczy wiem. Głównie po to, żeby dostać receptę na lek, który pomaga mi w stanach lękowych. A te nasilają się zawsze, kiedy znajduję się w sytuacjach stresowych. I mimo że od trzech miesięcy nie miewam już napadów lęku, to wciąż się umawiam na wizyty. Niestety do tej pory nie przyznałam się tej kobiecie, że nigdy nie gaszę światła i nie wychodzę z domu po zmroku.

\*

W drodze do domu wchodzę do osiedlowego sklepiku. Za ladą stoi kobieta, której mina, ubiór i zgarbiona sylwetka stanowią idealny przykład antyreklamy. Zastanawiam się, dlaczego nie zmieni pracy, skoro ta najwyraźniej ją unieszczęśliwia. Czasem mam ochotę o to zapytać, ale nigdy tego nie robię. A powinnam. Powinnam rozmawiać z ludźmi, poznawać ich i tworzyć w głowie katalog ciekawych postaci, aby później z niego czerpać, gdy

zabieram się do pisania. Niestety nie jestem ani towarzyska, ani bezpośrednia. Unikam ludzi.

Biorę z półki paczkę baterii paluszków i pudełko świeczek. Dokładam do koszyka zapalki i zapalniczkę. Na końcu sięgam po chleb, masło i ser żółty gouda. Tylko ten lubię. Podchodząc do kasy, łapię jeszcze, jakby wbrew swojej woli, tabliczkę czekolady. Obiecałam sobie, że dzisiaj jej nie kupię, ale nie mogę się powstrzymać. Zgarbiona ekspedientka wyjmuje z koszyka produkty i skanuje kody. Gdy sięga po świecezki, zagaduje:

– Pani chyba lubi romantyczne wieczory, ciągle pani te świecezki kupuje.

– Tak – potwierdzam i dodaję z wymuszonym uśmiechem: – Taka ze mnie romantyczka. – Płacę gotówką i wychodzę. – Sherlock Holmes od siedmiu boleści się znalazł – mamrocze pod nosem.

Nim odchodzę, przeglądam się w witrynie sklepowej. Sama siebie określam mianem średniaczki. Jestem średniego wzrostu, średniej wagi, tuż po trzydziestce, średnio ładna, średnio sympatyczna i moim zdaniem średnio nadaję się do czegokolwiek. Ginę w tłumie, niczym się nie wyróżniam i nie przyciągam wzroku mężczyzn. Gdybym miała określić siebie i swoje życie jakimś kolorem, byłby to szary w odcieniach od jasnego do ciemnego. W takim też kolorze mam większość ubrań w szafie i dodatków do nich.

Przed wejściem do klatki schodowej wyjmuję telefon i włączam latarkę. Na wszelki wypadek. Potem otwieram drzwi i idę schodami na czwarte piętro. Uchylam drzwi do mieszkania i staram się namacać włącznik światła, który jest tuż przy futrynie. Dopiero gdy zapala się żarówka w przedpokoju, wchodzę do środka i zamykam za sobą drzwi. Zdejmuję buty i płaszcz, stawiam na podłodze

torbę z zakupami. Potem włączam światło w każdym pomieszczeniu: w kuchni, łazience i dość dużym pokoju, który jest jednocześnie moją sypialnią, pracownią i pokojem dziennym. Podchodzę do komody, wydaję z szuflady cztery świece i umieszczam je w specjalnych ozdobnych osłonach, po czym zapalam i zanoszę po jednej do każdego pomieszczenia. Na wypadek gdyby wyłączyli prąd. Potem nastawiam minutnik w telefonie na sześć godzin, bo tyle mniej więcej upłynie, zanim świece się wypalą. Sprawdzam latarki, również cztery. Dopiero gdy się upewnię, że ciemność mnie nie zaskoczy, zaczynam rozpakowywać torbę z zakupami. Baterie, świece i zapalniczki kładę w przedpokoju na niewielkim stoliku. W koszyczku, który tam stoi, trzymam zapasowe żarówki. Przedpokój to najważniejsze miejsce w mieszkaniu, mogę szybko tu dotrzeć, by sięgnąć po nową żarówkę, świecę czy baterie.

Idę do kuchni z resztą zakupów. Zmarzłam i mam ochotę na gorącą herbatę, więc nalewam wody do czajnika elektrycznego. Wczesna wiosna nie rozpieszcza jeszcze temperaturami. Zerkam na zegar nad lodówką. Osiemnaście. Do codziennej rozmowy z matką mam jeszcze godzinę. Dość czasu, żeby zjeść kanapkę i napić się herbaty. Może jeszcze zajrzę na forum, na którym ludzie rozpisują się o swoich toksycznych matkach. Wielu z nich dzieli się wspomnieniami z domów rodzinnych, gdzie za zamkniętymi drzwiami przez całe lata przeżywali gehennę. Czy to nie ironia, że nie trzeba wierzyć w Boga ani umrzeć, aby trafić do piekła? Część z tych osób opowiada tam o terapiach, na które chodzą i które pomagają im uporać się z traumami. Kto wie, może gdybym była szczerą ze swoją terapeutką, mnie też by się to udało.

Im bliżej dziewiętnastej, tym bardziej się denerwuję. Chciałabym pchnąć wskazówki zegara o cztery godziny.

Matka dzwoni o dziewiętnastej, a potem jeszcze raz albo dwa. Natomiast nigdy nie dzwoni po dwudziestej drugiej. To wtedy zaczyna się najmilsza część mojego dnia. Czas wolności.

Po kolacji siadam na kanapie, sięgam po tabliczkę czekolady i lamie ją na drobne kawałki. Pierwszy z nich od razu wkładam do ust. Słodczy pieści moje podniebienie i język. I wtedy telefon najpierw podskakuje, pobudzony wibracjami, a potem głośnym dzwonkiem informuje mnie o połączeniu. Odbieram.

– Cześć, mamó – rzucam i zakładam nogę na nogę.

– Dobry wieczór. Jak było w pracy?

– Dobrze, dużo się działo – okłamuję ją i wkładam do ust kolejny kawałek czekolady. Matka sądzi, że pracuję jako redaktorka w wydawnictwie. Powiedziałam jej, że codziennie wychodzę z domu o ósmej, żeby dojechać na miejsce na dziewiątą. Po pracy zazwyczaj robię drobne zakupy i wracam do domu po osiemnastej. Właściwie to naprawdę jestem redaktorką w wydawnictwie, ale pracuję w domu. Tym drobnym kłamstwem kupiłam sobie święty spokój, którego potrzebuję w ciągu dnia, żeby skupić się na pracy.

– Poznałaś dzisiaj jakiegoś znanego pisarza?

– Nie, mamó, pisarze nie przychodzą do redakcji. Złatwiają wszystkie sprawy przez telefon albo piszą mejle.

– No tak. A zastanawiałaś się nad zmianą pracy? Pamiętasz, wczoraj ci mówiłam, że nasz „Tygodnik Podhalański” szuka dziennikarza.

– Mamó, ja nie jestem dziennikarką. – Przewracam oczami, jak zawsze gdy matka próbuje namówić mnie do powrotu do domu.

– Ale skończyłaś polonistykę. Pisać umiesz. Anka, mogłabyś wziąć tę robotę i wrócić tu do mnie. Jest mi coraz cięższej samej.

– Mamo, radzisz sobie doskonale. Jeszcze ci daleko do niedołęznej staruszki.

– Tak ci się tylko wydaje. – Podnosi głos: – Ale czego ja oczekuję?! Taki los matek. Rodzą dzieci, wychowują, poświęcają dla nich wszystko, a co dostają w zamian? Nic. Zostawiliście mnie. Ty i twój brat. Zostawiliście mnie samą na tym świecie.

– Mamo, przecież przyjeżdżam w weekendy. Pomagam ci w domu. Staram się.

– Starasz się. Tak, starasz się, jak możesz, ale żeby o mnie zapomnieć. Gdybym upadła i umarła, to pewnie przez miesiąc nikt by tego nie zauważył.

– Co ty mówisz? – Znów przewracam oczami. – Ja bym natychmiast zauważyła. Jeśli pewnego dnia nie zadzwonisz wieczorem, od razu będę wiedziała, że coś się stało.

– Widzisz, nawet moje telefony ci przeszkadzają.

– Mamo, niczego takiego nie powiedziałam... – Odchyłam głowę i patrzę w sufit.

– Ja swoje wiem. Umrę tutaj samotna. Tak będzie. Nie ma mi nawet kto recepty wykupić.

– Jakiej recepty?

– Od lekarza, na ciśnienie.

– Nie mówiłaś w sobotę, że masz receptę do wykupienia.

– A ty nawet nie zapytałaś, czy czegoś potrzebuję.

– Mamo, jak to nie? Kiedy szłam do sklepu, pytałam, co ci kupić. – Czuję, jak moja cierpliwość się kończy.

– O leki nie pytałaś.

– Bo nie wiedziałam, że byłaś u lekarza. Co z tym ciśnieniem? – próbuję się dowiedzieć.

– I tak cię to nie obchodzi. Ja cię nie obchodzę. Sama tu jestem. Jak niechciany śmieć. – Głos jej się łamie, a ja dobrze wiem, że świadomie zaczyna grać na moich emocjach.

– Mamo, jest środa, za trzy dni będę u ciebie i wszystko załatwię.

– Za trzy dni mogę już nie żyć. – Rozłącza się.

Wzdycham głęboko, bo wiem, że za chwilę znów zadzwoni. Przymykam oczy. Co mówiła ta terapeutka? Żeby nie odbierać? Że zmiana zaczyna się od jednego małego „nie”? Nie mam dzisiaj siły tego sprawdzać. Jeśli nie odbiorę, matka będzie dzwoniła do skutku, a potem zwyzywa mnie od najgorszych i będzie straszyla, że umrze. Dzisiaj tego nie zniosę.

Byłe wytrwać do dwudziestej drugiej. Potem już będę miała czas dla siebie. Obejrzę serial albo poczytam książkę. Jeśli mi się uda, wyrwę dla siebie cztery godziny, może nawet pięć. Nim usnę, nastawię budzik na ósmą, wymienię dopalone świece na nowe i dojem tabliczkę czekolady w asyście wyrzutów sumienia i obietnic, że to był ostatni raz. I będzie ostatni aż do jutra, kiedy cały ten cykl zacznie się od początku.

Wstaję i podchodzę do biurka. Otwieram szufladę i szukam pudełka czekoladek, które schowałam w niej kilka dni temu na czarną godzinę. Obawiam się, że jedna czekolada to na dzisiaj za mało. Gdy sięgam dłonią w głąb szuflady, wraz z czekoladkami wysuwa się zdjęcie. Jestem na nim razem z Michałem. Mężczyzną, z którym chciałam spędzić życie. Niestety nie wyszło. Odszedł. A właściwie zostawił mnie. Zawsze gdy patrzę na to zdjęcie, czuję w sercu ukłucie. Tak jak teraz.

Zamykam szufladę z trzaskiem i idę do kuchni po kolejny kubek herbaty. Tym razem dolewam do niej soku malinowego. Wracam na kanapę i już po chwili dzwoni telefon. Odbieram.

– Słucham cię, mamo...

Natarczywy dźwięk budzika wyrywa mnie ze snu. Powieki nie chcą się unieść. Mam wrażenie, jakby dolne i górne rzęsy się skleiły. Po chwili już wiem, dlaczego nie mogę się obudzić. Wczorajszą wolność wydłużyłam niemal do czwartej rano. A jest ósma. Nie mam prawa być wyspana, a moje oczy mogą nie chcieć się otworzyć. Muszę jednak wstać, bo dziś mam w redakcji spotkanie z szefem. Podobno chodzi o jakieś nowe zlecenie. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy załatwić tego przez telefon. No ale z szefem się nie dyskutuje.

Wstaję i idę do łazienki. Przemywam oczy płynem do demakijażu, po czym wchodzę pod prysznic. Strumień wody pobudza mnie do działania. Suszę włosy i upijam łyk kawy, którą zaparzyłam przed kąpielą. Resztę dopiję, gdy wrócę. Śniadanie też zjem później. Ubieram się.

Wychodzę z bloku, w którym mieszkam rok z kawalkiem. Mieszkanie należy do znajomej mojego brata. Wyjechała za granicę, a nie chciała, żeby stało puste. Dla mnie to idealne rozwiązanie, ponieważ nie zarabiam tyle, by móc sobie pozwolić na wynajem samodzielnego lokum. Tutaj opłacam tylko czynsz i media.

Idę na przystanek tramwajowy. Mijam starszą panią, która mieszka na tym samym piętrze co ja. Mój pokój ma wspólną ścianę z jej kuchnią. W każdy czwartek budzi mnie o szóstej rano odgłosem ubijania kotletów. Czasami sobie wyobrażam, jak wpadam do jej mieszkania, wyrywam tłuczek z ręki i walę ją w głowę, krzyżąc: „Jest szósta rano, do jasnej cholery!”.

Uśmiecha się do mnie i mówi:

– Dzień dobry pani sąsiadce.

Odwzajemniam uśmiech, zlorzecząc w myślach i życząc jej, żeby w tym tygodniu zabrakło w mięsny schabu.

- Dzień dobry, dzień dobry - odpowiadam grzecznie.

Chwilę później stoję na przystanku i widzę w odali nadjeżdżającą ósemkę. Dobrze, że nie wdałam się w rozmowę z miłośniczką kotletów, bobym nie zdążyła. W tramwaju na szczęście nie ma tłoku, udaje mi się nawet usiąść. Wyjmuję z torebki książkę i czas, którego tramwaj potrzebuje na pokonanie dwunastu przystanków, postanawiam poświęcić na lekturę.

Gdy wysiadam przed biurowcem, w którym mieści się redakcja, słońce wychodzi zza chmur i sprawia, że świat od razu wydaje się znośniejszy. W budynku od razu kieruję się w stronę schodów. Nie jeżdżę windą bez względu na to, ile pięter mam do pokonania. Mała, ciasna przestrzeń i ryzyko, że wyłączą prąd i zapadnie ciemność, skutecznie mnie zniechęcają. Stare, dobre, pocziwe schody nigdy się nie psują i nie mogą zamienić się w mroczne więzienie.

Docieram na piąte piętro i wchodzę do redakcji.

- Dzień dobry - witam się z sekretarką i dodaję: - Ja do szefa, byłam umówiona na dziesiątą trzydzieści, Anna Płaza.

- Tak, zgadza się. Może pani już wejść do gabinetu, prezes czeka. Napije się pani czegoś? Kawa? Herbata? - Po-syła mi promienny uśmiech. Tak szeroki, że widzę wszystkie jej siódemki.

- Nie, dziękuję - odpowiadam, gapiąc się na jej użębienie.

Pukam do drzwi i wchodzę. Szef siedzi za biurkiem, ma na sobie dżinsy i koszulę w geometryczne wzory. Jest w średnim wieku i choć widziałam go nieraz, nie potrafię stwierdzić, ile ma lat. Może czterdzieści, a może pięćdziesiąt.

Brak siwych włosów nie ułatwia sprawy. Gdy mnie widzi, zrywa się z biurka, podchodzi i podaje mi rękę.

– Dzień dobry, pani Anno – mówi, nim zdążę otworzyć usta.

– Dzień dobry, panie prezesie – odpowiadam i siadam w fotelu.

On wraca za biurko.

– Mamy dla pani propozycję. Pani pochodzi z Zakopanego, tak? Nie myślę się?

– Nie, nie myli się pan.

– No właśnie. Zakopane. Miejsce, które się kocha albo którego się nienawidzi. Miejsce nieustannie przyciągające uwagę. Malownicze, ale i pełne kontrowersji. Pani na pewno zna to miasto i je rozumie.

– Tak, myślę, że tak. – Ciekawość miesza się teraz z kielkującym strachem. Do czego on zmierza?

– I właśnie takiej osoby potrzebujemy. Pracuje pani dla nas od ponad roku i jest to bardzo udana współpraca. Ma pani potencjał. Widzimy to. Chcieliśmy pani zaproponować napisanie książki.

– Książki? – Z dwóch buzujących we mnie uczuć to ciekawość wychodzi teraz na prowadzenie. – O czym ma być?

– Coś z gatunku non fiction, reportaż.

– O Zakopanem?

– Tak, ale w arabskiej odsłonie! – wykrzykuje z entuzjazmem prezes. – Od kilku lat w polskich mediach pojawiają się liczne obrazki z Zakopanego, na których królują Arabowie oraz ich rodziny. Opisałaby pani, co ich sprowadza pod Giewont, co lubią, a czego nie, gdzie się zatrzymują i co jedzą, jak nas postrzegają. Zatytułowalibyśmy tę książkę *Zakopiański Dubaj* albo coś w tym stylu. Zebrałaby pani anegdoty z lokalnych hoteli i restauracji.

Podobno zdarza się, że kupują żywego barana i zarzynają go w pokoju hotelowym. To prawda?

– Nie wiem. Słyszałam o tym, no ale to tylko plotki.

– Otóż to. Przed kim jeśli nie przed rodowitą zakopianką otworzą się pracownicy hoteli i restauracji? Co pani na to? Pojedzie pani do Zakopanego, pomieszka tam jakiś czas, zbierze materiały i napisze dla nas książkę.

„Pomieszka tam jakiś czas” – te słowa docierają do mnie z całą mocą. Ogarnia mnie przerażenie.

Wrócić do Zakopanego. Znow zamieszkać z matką? Może i jestem od niej uzależniona, może i jeżdżę do niej w każdy weekend, ale wyrwałam się stamtąd i mam swoje chwile wolności. Jeśli wrócę, będę musiała z nich zrezygnować. Gdy o tym myślę, serce wali mi jak młotem. Poca mi się dłonie. Wycieram je w spodnie, lecz to nic nie daje, po kilku sekundach znow są mokre. Czas płynie, powinnam coś odpowiedzieć. Wzrok szefa zdradza, że zauważył moje wahanie.

– Myślałam, że się pani ucieszy. To dla pani szansa. Rozumie pani?

– Tak, panie prezesie. Jestem po prostu zaskoczona. Czy mogę się nad tym zastanowić?

– A nad czym tu się zastanawiać, pani Anno?

– Powrót do Zakopanego... Wie pan, nie planowałam tego. Tu, w Krakowie, zaczęłam nowy etap życia, mam wszystko poukładane...

– Pani Anno, oczywiście, to pani decyduje. Ja pani do niczego zmuszał nie będę.

Czuję teraz wyraźnie jego rozczarowanie.

– To bardzo ciekawa propozycja – próbuję go udobruchać. – Po prostu mnie pan zaskoczył, więc proszę wybaczyć mój brak entuzjazmu. Jestem osobą pragmatyczną, od razu zastanawiam się nad tym, jak musiałabym wszystko przeorganizować. Proszę dać mi dwa, góra trzy dni do namysłu.

– Oczywiście. Proszę się zastanowić. Jest wtorek. Umówmy się na piątek. W piątek rano przyjdzie pani i przekaże mi swoją decyzję.

– Dobrze, panie prezesie. I naprawdę bardzo dziękuję za tę propozycję.

Podnosi się pierwszy, dając mi znak, że rozmowę uważa za zakończoną. Żegnamy się uściskiem dłoni. Jest mi wstyd, gdy podaję mu zimną i wilgotną od potu rękę. Wychodzę ze spuszczoną głową.

Za drzwiami niemal zderzam się z sekretarką, która idzie do gabinetu prezesa z tacą, na której stoi filiżanka espresso i talerzyk z biszkoptami. Na szczęście jej nie muszę podawać ręki, więc żegnam się krótkim: „Dziękuję, do widzenia”.

Wypadam na klatkę schodową, siadam na pierwszym schodku i kładę rękę na sercu. Wciąż bije jak szalone. W moim umyśle pierwsze skrzypce ciągle gra strach przed powrotem do domu. Do matki. Zamykam oczy i próbuję uspokoić oddech za pomocą jednej z technik relaksacyjnych. Odliczam w głowie do czterech, gdy nabieram powietrza, i powtarzam to samo, gdy je wypuszczam.

Po mniej więcej dziesięciu minutach wychodzę z budynku i dziękuję za słońce, które nie skryło się jeszcze za chmurami. Ono zawsze dodaje mi sił. Słońce to jeden z moich nielicznych przyjaciół.

\*

Nie wracam do domu. Podjeżdżam do centrum i idę do galerii handlowej. Nie lubię takich miejsc, ale chcę kupić książkę. Zamówiłabym ją w sklepie internetowym, lecz nie chcę czekać, chcę mieć ją już dzisiaj.

W galerii jak zawsze tłumy. Nie rozumiem, co przyciąga tutaj ludzi. Nie rozumiem, dlaczego tak lubią łązić od sklepu do sklepu. Drażni mnie hałas, drażnią mnie unoszące się tutaj zapachy, drażni mnie dynamika tego miejsca. Czułabym się zdecydowanie lepiej, gdyby nikogo tu nie było. Od razu idę do Empiku, szukam regału z kryminałami i sięgam po najnowszy tom serii, którą czytam od kilku lat.

Gdy już mam podejść do kasy, mój wzrok przyciąga znajome nazwisko na jednej z okładek. Biorę książkę do ręki i otwieram ją. Tak, nie pomyliłam się. Na skrzydełku jest zdjęcie kobiety i krótki biogram. To moja koleżanka ze studiów. Czuję ukłucie zazdrości. Dobrze ją pamiętam. Niczym się nie wyróżniała. Nie była nawet najlepszą studentką na roku. A jednak to jej powieść stoi teraz na półce z nowościami obok tytułów najpoczytniejszych pisarzy. Jej. Nie moja. A przecież to ja od zawsze marzyłam, by zostać pisarką.

Zazdrość. Nędzne uczucie, które zatruwa umysł i duszę. Uczucie, które niszczy. Wiem to, a jednak pozwalam mu zawładnąć moimi myślami. I wciąż zadaję sobie pytanie: dlaczego ona, a nie ja?

Od razu znajduję dla siebie usprawiedliwienie. Nawet więcej niż jedno. Bo nie miałam wsparcia. Bo nikt we mnie nie wierzył. Bo od kiedy pamiętam, słyszałam od matki, że do niczego się nie nadaję. I w końcu w to uwierzyłam. Bo cokolwiek napisałam, uważałam to za bezwartościowy stek bzdur. Bo, bo, bo...

Z biogramu dowiaduję się również, że moja koleżanka jest szczęśliwą żoną i matką. Jasne. Nie dość, że wydała książkę, to jeszcze ma poukładane życie. I gdzie tu sprawiedliwość? Dlaczego inni mają wszystko, a ja nie mam nic? Cholera jasna, niepotrzebnie tu przyszedłam.

Odkładam książkę na półkę i idę do kasy zapłacić za kryminal.

Wychodzę z galerii i kupuję obwarzanek z solą. Zjem go zamiast śniadania. Postanawiam przejść się dwa przystanki, nacieszyć wiosennym słońcem i pierwszą, jeszcze nieśmiałą zielenią. To jedyna pora roku, kiedy świat wydaje mi się znośny. Siadam na ławce na Plantach i skubię obwarzanek. Wciąż myślę o książce mojej znajomej. Mam nadzieję, że jest marna. I po raz tysięczny postanawiam, że jeszcze wszystkim pokażę, na co mnie stać, i że napiszę bestseller. Przecież to ja byłam najlepsza na roku. To ja zawsze chciałam pisać. Mnie się to należy! Wstaję i ruszam na przystanek. Po drodze myślę o propozycji szefa. Zgodziłabym się na ten reportaż bez wahania, gdyby nie wiązało się to z powrotem do domu.

Po półgodzinie jestem w osiedlowym sklepiku. Świeczek mam dość, ale tamtą czekoladę już zjadłam. Dzisiaj biorę taką z orzechami. Wmawiam sobie, że jest zdrowsza, a orzechy dobrze działają na mózg.

Gdy wychodzę ze sklepu, z daleka widzę znajomą postać. Na ławeczce koło latarni siedzi Marek, mój brat, i uśmiecha się do mnie. Podbiegam, siadam obok niego, cmokam go w policzek.

– Cześć, braciszku – mówię pieszczotliwie, choć jest starszy ode mnie o dziesięć lat.

– Cześć, mała. Byłem w pobliżu. Dzwoniłem domofonem, ale nie odbierałaś. Już się martwiłem, że coś ci się stało. O tej porze zawsze jesteś w domu. Usiadłem tu i właśnie miałem do ciebie zadzwonić.

– Byłam w redakcji.

– Po co?

– Nie uwierzysz. Chcą, żebyśmy napisała książkę.

- To wspaniale! Wreszcie masz swoją szansę. Jestem pewien, że napiszesz coś naprawdę dobrego. To twoje przeznaczenie.

Widzę jego szczerzy entuzjazm.

- Jest mały problem...

- Jaki? Przecież marzysz o napisaniu książki.

- Tak, ale nie takiej. Zawsze marzyłam, że napiszę powieść. Taką, która poruszy ludzkie serca... A oni mi proponują napisanie czegoś w rodzaju reportażu.

- Niech będzie reportaż. Od czegoś trzeba zacząć.

- To ma być reportaż o Zakopanem.

- I w czym problem? - Marek wzrusza ramionami.

Czy on naprawdę nie rozumie?

- Musiałabym tam wrócić i zamieszkać na jakiś czas z matką. - Przelykam ślinę. - Zebranie materiałów zajęłoby mi pewnie kilka tygodni.

- Rozumiem... - Marek milknie, a ja mu się przyglądam.

Przez te lata w ogóle się nie zmienił. Odkąd pamiętam, jest szczupły, ma przystrzyżone na jeża włosy, a na nosie te same okulary. Czy one nigdy się nie psują ani nie łamią?

Wreszcie się odzywa:

- Zgodzisz się?

- Jeszcze nie wiem. - Sięgam do siatki po czekoladę, ułamuję kilka kawałków i mu podsuwam. - Poczęstuj się.

- Dzięki. - Wkłada do ust dwa kawałki naraz.

- Ej, powoli - upominam go i żartobliwie uderzam po palcach.

Obok przechodzi kobieta z wózkiem. Gapi się na nas. Nie kojarzę jej. Pewnie mieszka w którymś z dalszych bloków. Mam ochotę pokazać jej język. Marek wraca do tematu:

- I co zrobisz?

- Nie wiem. Co radzisz?